Nr. 50. Sobota, 9 go grudnia 1911. Rok X

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę drugą Adwentu.

LEKCYA

św. Pawła do Rzymian rozdział 15, wiersz 4—13.

Bracia! Cokolwiek napisano, ku naszej nauce napisano, abyśmy przez cierpliwość i pociechę pisma nadzieję mieli. A Bóg cierpliwości i pociechy niech wam da, abyście jednoż między sobą rozumieli wedle Jezusa Chrystusa, abyście jednomyślnie, jednemi usty czcili Boga i Ojca Pana naszego Jezusa Chrystusa. Przeto przyjmujcie jedni drugich, jako i Chrystus przyjął was ku czci Bożej. Albowiem powiadam wam, iż Jezus Chrystus był sługą obrzezania dla prawdy Bożej, aby utwierdził obietnice ojców, lecz poganie, żeby za miłosierdzie czcili Boga, jako napisano. Dla tego będę wyznawał między pogany, Panie: i będę śpiewał imieniowi Twemu. I zasię mówi (pismo): Weselcie się poganie z ludem jego. I zasię: Chwalcie Pana wszyscy poganie, a wysławiajcie go wszyscy narodowie. I zasię Izajasz mówi: Będzie korzeń Jessego, a który powstanie panować nad pogany; w tym poganie nadzieję pokładać będą. A Bóg nadziei niech was napełni wszelakiej radości i pokoju w wierzeniu, abyście obfitowali w nadziei i w mocy Ducha świętego!

EWANGELIA

według św. Mateusza rozdział XI, wiersz 2—10.

Jan usłyszawszy w więzieniu dzieła Chrystusowe, posławszy dwóch z uczniów swoich, rzekł mu: „Tyś jest, który masz przyjść, czyli inszego czekamy?” A odpowiadając Jezus, rzekł im: „Szedłszy odnieście Janowi, coście słyszeli i widzieli. Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim ewangelią opowiadają. A błogosławiony jest, który się ze Mnie nie zgorszy”. — A gdy oni odeszli, począł Jezus mówić do rzesz o Janie: Coście wyszli na puszczę widzieć? Trzcinę chwiejącą się od wiatru? Ale coście wyszli widzieć? Człowieka w miękkie szaty obleczonego? Oto którzy w miękkie szaty się obłóczą, w domiech królewskich są. Ale coście wyszli widzieć? Proroka? Zaiste powiadam wam, i więcej niż proroka. Bo ten jest, o którym napisano: Oto Ja posyłam anioła Mego przed obliczem twojem, który zgotuje drogę twą przed tobą.

NAUKA.

Najmilsi! Między przepowiedniami odnoszącemi się do przyjścia Zbawiciela na ziemię była i ta, że Go poprzedzi mąż obyczajów anielskich, który Mu do serc ludzkich utoruje drogę. Mężem tym od Pana Boga na poprzednika Chrystusa Pana, wybranym był syn Zacharyasza i Elżbiety, św. Jan Chrzciciel. O nim też mówi Ewangelia dzisiejsza. Wierny bowiem powołaniu swojemu nawet z więzienia, do którego wtrącił go Heród tetrarcha Galilejski, posyłał uczniów swoich do Jezusa Chrystusa.

Nietylko jednak to pierwsze przyjście Pana Jezusa na ziemię miało poprzednika, który je zapowiadał współczesnym, ale i drugie na końcu świata również będzie miało swoich poprzedników zwiastunów. Będą zaś nimi owe nadzwyczajne zdarzenia, o których wspomniałem ostatniej niedzieli, a więc i to ogólne odpadnięcie od wiary, mimo, że przedtem ewangelia wszystkim narodom ogłoszoną zostanie i to ukazanie się Antychrysta, przyjście Henocha i Eliasza na ziemię, nawrócenie się żydów, a przedewszystkiem te znaki na słońcu i księżycu i gwiazdach. Przerażające to wszystko rzeczy i wstrząsające do głębi, bo jak sam Pan Jezus powiada „będą ludzie schnąć od strachu i oczekiwania” ich (Łuk. XXI, 26). Stokroć jeszcze jednak większą trwogą przejmujące po nich dopiero nastąpią, a pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajmuje ukazanie się Jezusa Chrystusa jako Sędziego żywych i umarłych.

Skoro już wszystko będzie gotowe, a więc i słońce już zgaśnie i księżyc nie da światłości i gwiazdy z niebios spadną, a wpośród strasznych ciemności na głos archanielskiej trąby umarli z grobów powstaną, wtedy jak opowiada Ewangelia św., „ukaże się najprzód znak Syna człowieczego na niebie” (Mat. XXIV, 30), dziwną światłością zajaśnieje krzyż. Wnet jednak potem ujrzą ludzie i samego „Syna człowieczego” t. j. Jezusa Chrystusa. Widzieli Go już nieraz jeden przedtem, lecz wtenczas był w poniżeniu. Widzieli Go betleemscy pasterze, ale w żłobie na sianku, widziało Go wielu w nazaretańskim domu, lecz poddanego Najśw. Maryi Pannie i Józefowi św. Widziały Go i potem wioski całe i miasta, ale gdy uczył i cuda czynił, widziała Go na Kalwaryi nieprzeliczona rzesza, ale gdy cierpiał i na krzyżu umierał. Teraz Go ujrzą znowu, lecz już nie w poniżeniu, tylko „przychodzącego w obłokach niebieskich z mocą wielką i majestatem” (Mat. XXIV, 30) przychodzącego na sąd. Jako bowiem powiedział: „Ojciec nikogo nie sądzi, lecz wszystek sąd dał Synowi” (Jan V, 22). Sędzią zatem całego świata będzie Pan Jezus. W mgnieniu oka zjawi się On na ziemi, gdyż jak czytamy: „Jako błyskawica wychodzi od wschodu słońca i okazuje się aż na zachodzie, tak będzie i przyjście Syna człowieczego” (Mat. XXIV, 27). Strasznym jednak będzie ten krótki moment. Przewidując go w duchu z trwogą pyta Malachiasz prorok: „Kto się ostoi na widzenie Jego?” (Malach. III, 2). Jeżeli bowiem, jak przepowiedział Pan Jezus, na widok krzyża, który się w on dzień sądu zjawi na niebie „będą narzekać wszystkie pokolenia

ziemi" (Mat. XXIV, 30), to jakiż lament, płacz i przerażenie powstanie wtenczas, gdy się ukaże w obłokach i w jasności niebieskiej sam Syn człowieczy.

Opowiadają księgi święte, że kiedy prorok Daniel nad rzeką Tygrys przebywał, miał tam widzenie. Ukazał mu się mianowicie anioł, którego posłał Pan Bóg, aby tego męża sprawiedliwego pocieszył. Widok jednak tego anioła otoczonego jasnością takie na proroku wywarł wrażenie, że jak sam opisuje „struchlał i nie miał nic siły i leżał przestraszony, a twarz jego przylgnęła do ziemi" (Dan. X, 8, 9). Jakże dopiero przerazi kiedyś wszystkich widok samego Pana Jezusa, otoczonego całym chórem aniołów.

Czytamy w Ewangelii św., że gdy Pan Jezus na górze Tabor przemienił się w obliczu trzech apostołów, Piotra, Jakóba i Jana, to oni zobaczywszy Jego twarz jaśniejącą jak słońce, a szaty białe jak śnieg, chociaż przed chwilą z nim rozmawiali, teraz „upadli na twarz swoją i bali się bardzo" (Mat. XVII, 6). Tak ich widok majestatu Bożego przeraził. Jakżeż tedy nie ma na sądzie ostatecznym przerazić grzeszników.

O jednym z dawnych królów angielskich opowiadają, że kiedy dnia jednego bawił na polowaniu, zabłąkał się w lesie. Ponieważ w dodatku i noc go zapadła, zmuszony był szukać jakiegoś schronienia. To też napotkawszy mieszkającego niedaleko węglarza, prosił, aby go przyjął pod dach. Węglarz nie znając króla, przyjął go dość niegrzecznie. Nie dał nic poznać po sobie król, ale skoro już do domu powrócił, rozkazał przyprowadzić węglarza. Stanął węglarz niegościnny przed królem, gdy jednak tenże się go zapytał: „Czy mnie poznajesz"? tak się widokiem króla i tem co mówił do niego, przeraził, że padł nieżywy na ziemię.

Zapewne i na widok Pana Jezusa Sędziego, gdyby to było jeszcze możebne, wszyscyby zaraz pomarli, bo w Nim poznają Tego, z którym się niegodziwie obchodzili za życia. A choćby Go nie chcieli poznać, jak to czynili na ziemi żyjąc, to Sam się do nich odezwie: „Czy mnie nie poznajecie? Toć Ja jestem ten Stwórca wasz i Pan nad Pany, któremuście tak niewiernie służyli. Jam jest ten wasz Ojciec najlepszy, który was umiłował od wieków, a któregoście, jak należy, nie czcili. Jam jest wasz Odkupiciel, co na górze Kalwaryi za was życie położył, co za was Krew Najśw. przelał, a wyście z niej nie korzystali. Jam jest wasz Dobrodziej największy, któremuście za wszystko czarną niewdzięcznością płacili". Ach! jakże straszne kiedyś dla nas będą te dwa tylko Chrystusowe słowa: „Jam jest"-!

Czytamy w historyi Starego Zakonu, że kiedy Józef, syn patryarchy Jakóba zaprzedany przez braci Medyanitom, dostał się później na dwór Faraona, króla Egiptu i tam do pierwszej po królu doszedł godności, po długich niewidzenia latach, spotkał się z nimi. Poznawszy ich od razu, a nie chcąc już dłużej taić się przed nimi, przywołał ich do siebie i w te odezwał się słowa: „Jam ci jest Józef brat wasz". Lecz chociaż gdy to mówił, z rozrzewnienia płakał, choć im raz po razu powtarzał: „Nie bójcie się"! oni „nie mogli odpowiedzieć, wielką bojaźnią przestraszeni" (Rodz. XLV, 3). Takie te słowa jego na nich zrobiły wrażenie. Tak się przelękli, gdy przed sobą ujrzeli brata swojego, z którym się źle obeszli, gdy go ujrzeli mającego władzę i mogącego swojej krzywdy dochodzić. O jakież przerażenie opanuje grzeszników, gdy zobaczą Pana Jezusa w blasku majestatu przychodzącego z mocą, gdy, ażeby wszelką precz usunąć wątpliwość, On do nich powie: Jam jest Jezus Nazareński, Jam wasz Odkupiciel, a teraz Sędzia.

Przemówił niegdyś w podobny sposób do sług arcykapłańskich w Ogrojcu, bo kiedy Go szukali, On im powiedział: „Jam jest", a jak czytamy w ewangelii, z przerażenia natychmiast: „poszli nazad i upadli na ziemię" (Jan XVIII, 6). Zawołał temi słowy Pan Jezus na Pawła, gdy pędził do Damaszku, aby tam śledzić chrześcian i przed sądy ich stawić, a on usłyszawszy ten gorzki wyrzut, to wołanie z nieba: „Jam jest Jezus, którego ty prześladujesz" (Dzieje Ap. IX, 5), spadł z przestrachu z konia na ziemię.

Takim to lękiem wielkim, taką nie do opisania straszliwą trwogą przejmował ludzi widok Pana Jezusa, kiedy nie sądzić i nie potępiać, ale zbawić i od wiecznego zatracenia ludzi ratować przychodził. Takie wrażenie czyniły Jego słowa, gdy niemi do poprawy wzywał, a cóż dopiero powiedzieć, gdy się na sądzie ostatecznym ukaże i tam przemówi, gdzie już miłosierdzia nie będzie, cóż dopiero powiedzieć, gdy ludzie Jego zagniewane oblicze zobaczą, którego surowości nic już nie zdoła zmienić. To też słusznie zauważa św. Augustyn: „Cięższą będzie karą dla złych widzieć gniewne oblicze Pańskie, niż znosić inne męki piekielne".

Nie wszystkich jednak widok Syna Bożego przychodzącego w obłokach niebieskich z mocą wielką i majestatem tak wielkim strachem i przerażeniem przejmie. Jak niegdyś po zmartwychwstaniu, kiedy Go zobaczyli żołnierze pilnujący grobu, z przerażenia wielkiego padli jak nieżywi na ziemię, podczas gdy apostołowie „uradowali się ujrzawszy Pana" (Jan XX, 20), tak i w dzień ostateczny drżeć będą tylko grzesznicy, podczas gdy sprawiedliwi cieszyć się będą Jezusowym widokiem. Nawróćmyż się więc przeto zawczasu, tu się Pana Jezusa lękajmy, tu się Go bójmy obrazić grzechem, byśmy w dzień sądu bać się Go nie musieli. Amen.

KURZAWA.

Z twardego po ciężkiej pracy snu zbudziły górników gwizdawki fabryczne, wzywające do pracy w podziemiach. Ozwał się najprzód gruby głos basowy matki gwizdawek Zagłębia, a za nim naokół poczęły wtórować tenory, soprany, dyszkanty — i prując powietrze, ginęły w przestworzach. Za chwilę wszystkie te głosy zlały się w jeden akord przeraźliwy, a w pieśni tej brzmiała zachęta do pracy, pogarda dla próżniaków.

Wśród ciemności, niezwyciężonej jeszcze brzaskiem dziennym nocy zimowej, tu i owdzie w oknach domków górniczych, jak gdyby za skinieniem różdżki czarodziejskiej, pojawiły się światełka blade. Po chwili światełka te poczęły wyłaniać się z mieszkań i mrugając zalotnie, wybiegały na pole.

Wkrótce całe pole zasłane zostało tysiącami świateł. Goniły się one, mijały, zlewały razem, to znów rozłączały, szły czasem gromadnie, to znów pierzchały w pojedynkę, podskakując i migocąc. Wszystkie zdążały w jedną stronę, ku szybowi kopalni „Merkury". Jedne świeciły blado, inne różniły się czerwonym jaskrawym kolorem, a wszystkie, zakończone ostrymi językami, falującymi za poruszeniem wiatru, zdawały się gwarzyć z sobą i porozumiewać.

W miejscu, gdzie na ciemnem tle nieboskłonu rysował się sterczący w przestworzach komin kopalniany, błędne ogniki skupiały się i ginęły bezpowrotnie. Pozostałe spóźnione ogniki poczęły biedz, podskakując co chwila, i u podnóża komina kopalnianego znikały wraz z innymi.

Na polu zapanowały znów ciemności i niczem nie zamącona cisza. Nagle gwizdawki rozpoczęły potworną muzykę, tym razem krótką, lecz bardziej przeraźliwą. Zajęczała maszyna parowa, poczęła stękać, skarżyć się, a ziemia głuchem, drżącem echem poczęła jej odpowiadać, jak gdyby chciała ją pocieszyć.

W kaplicy kopalnianej zapalono świece i zaintonowano pieśń: „Święta Barburko, Opiekunko nasza...” Kilkaset piersi poczęło wtórować i popłynęła pieśń rzewna, błagalna, aż szyby drżały i ściany się trzęść poczęły. Wsparci na kilofach górnicy, klęcząc na jednem kolanie, wpatrzeni w obraz swej świętej Opiekunki, przejęci zapałem do pracy, przywykli zawsze patrzeć śmierci w oczy — oddawali się opiece świętej Barburki, Patronki górników, ze łzami w źrenicach i ufnością w sercu.

Po skończonej modlitwie i zapisie idących do pracy, górnicy wolnym miarowym krokiem udali się nad szyb, gdzie windą poczęto ich spuszczać w podziemia. Najprzód zjechali nestorzy górników o czarnych ściągłych twarzach, na których liczne szramy świadczyły o przebytych wypadkach w kopalni. Ponure, choć dobroduszne ich spojrzenie, zimna krew ujawniająca się w każdym ruchu, pewność siebie i absolutna rezygnacya, nadawały tym postaciom poniekąd powagę majestatyczną i wyróżniały ich wybitnie z pośród górników młodych.

Na podszybiu w podziemiach oczekiwały setki górników z partyi nocnej na wyjazd na wierzch. Zasmoleni, znużeni, wpół senni, siedzieli pod ścianami na głównym chodniku. Ociężałe od całonocnej pracy ręce wspierali na kolanach i, wyrywając się z objęć Morfeusza, od czasu do czasu łypali białkami oczu, spoglądając w stronę windy.

Na żelaznym pomoście przed windą zaprzęgano do pociągów kopalnianych wypoczęte konie i odprowadzano spracowane do stajni. Brzęk łańcuchów, spinających wozy, rżenie koni, nawoływania spinaczy i furmanów, sygnały windy, plusk wody w zbiorniku i stękanie wodnej maszyny, — wszystko to zlało się w jeden chaos, wzbudzający energię do pracy, zwiastujący życie gorączkowe i wzywający do walki z żywiołem.

Stary Józwa, szanowany przez wszystkich najstarszy z górników, o pooranej szramami pociągłej, długiej twarzy, z wielką blizną przez środek czoła, stanowiącą niemal jedną linię z potężnym orlim nosem, umieszczonym nad spuszczonemi ku dołowi rzęsistemi wąsami, o pochylonej ku ziemi pod ciężarem długoletniej pracy wysokiej postaci, przystanął przy wejściu na główny chodnik, by zaczekać na „swoich”. Nałożywszy fajkę, zapalił ją, począł pykać, a utkwiwszy swe wielkie oczy o badawczym wzroku w ziemię, pomrukiwał coś swym zwyczajem, jak gdyby rozmawiał z sobą.

Niebawem zjawili się kamraci Józwy, pracujący razem na jednym z filarów przy zabirce węgla. Był tam wesoły Antek, stary Andrzej, odznaczający się nadzwyczajną odwagą i zimną krwią, był Jankiel, jedyny górnik-żyd w całem Zagłębiu i trzech nakładaczy.

Józwa poprawił torbę i dłuta przewieszone przez ramię, chwycił kilof w rękę i, przyświecając drogę, poprowadził chodnikiem drużynę górniczą do miejsca codziennej pracy.

Przed wejściem na filar górnicy zawiesili torby na wbitych w ścianę węglową gwoździach i przysiedli dla wypoczynku na pryczy. Józwa chwycił kilof i lampkę, przeżegnał się i udał się dla zbadania sufitu i ścian węglowych, zanim górnicy zabiorą się do pracy.

Szedł ostróżnie z lampką podniesioną do góry i badawczem okiem znawcy powiódł dokoła, azali nie ujrzy wiszących kęsów, lub szczelin, grożących niebezpieczeństwem.

Przestawiając po kolei drabinę z miejsca na miejsce, Józwa pukał kilofem w ściany i sufit, rozmawiał do nich i chwalił, że są mocne, i że nie odpowiadają głucho a zdradliwie.

Zbadał, rzucił kilof na podeszwę węglową, powiódł jeszcze wzrokiem dokoła i poszedł odpocząć na pryczy.

Po krótkim wypoczynku górnicy zabrali się do pracy. Ozwały się odgłosy uderzeń dłutami w twarde ściany węglowe, przeplatane pluskiem spadającej z sufitu cienkiemi strumieniami wody. Jedni wiercili dziury, stojąc na podeszwie węglowej, inni jak dzięcioły kuli w ścianach, stojąc na drabinach.

Za chwilę nadszedł piąty kamrat z amunicyą.

Nie zdejmując z siebie ciężaru, stanął przed Józwą blady, wystraszony i począł szeptać urywane słowa.

— Józwa, kamrat, źle z nami... na głównym chodniku przy podszybiu widzieli Skarbnika ze zgaszoną lampką... wyszedł z jednej ściany i wszedł w drugą.

— Kto go widział?

— A górnicy z piątego numeru.

— Nieszczęście pewne, jedziemy na wirch! Bierta chłopcy torby i na wirch czemprędzej!

Wszystkich opanował lęk nie do opisania.

Chwycono torby i lampki, pozostawiając narzędzia i amunicyę i, o ile tylko ciemności pozwalały na szybkie kroki, podążono ku szybowi.

Gdy byli już w połowie drogi, ujrzeli zdala przy blasku świateł tłoczących się przy szybie górników, wyjeżdżających z powrotem z kopalni, uciekających przed zapowiedzianem przez Ducha kopalnianego nieszczęściem.

— Wyjeżdżają wszyscy — rzekł Józwa — byleśmy tylko zdążyli!

Wtem rozległ się straszny huk, potężniejszy od stu gromów, i cała kopalnia zatrzęsła się w posadach.

— Święta Barburko! nie zdążymy! — wykrzyknął Józwa — kurzawa za nami idzie!

Piekielne wycie, połączone z szumem i pluskiem wody, trzask łamanych podpór, huk ścian węglowych, walących się od naporu wody z piaskiem, złowieszcze warczenie kłębiącej się fali potwierdziły słowa Józwy.

Józwa odrazu zrozumiał, że o drodze do podszyb niepodobna było już myśleć — było zapóźno! Przed pędzącą falą nikt by już ujść nie zdołał. Józwa zawrócił z powrotem i, biegnąc naprzeciwko pędzącej kurzawy, krzyczał z całej siły:

— Za mną! na pochylnię! prędzej, bo zginiecie!

Puszczono się za nim coprędzej na oślep. Tuż za Józwą pędził Jankiel, depcząc mu prawie do piętach, dalej wesoły Antek, następnie Wicek, który nosił amunicyę, wreszcie stary Andrzej, za którym w pewnem oddaleniu biegło trzech nakładaczy, nie znających dokładnie drogi, potykających się co chwila.

Trzask łamanego drzewa i walących się ścian dawał się słyszeć bliżej, coraz wyraźniejsze stawało przed oczami widmo śmierci.

Józwa jedno miał pragnienie — byle coprędzej dopaść do pochylni i umknąć ku górze, a może woda nie dosięgnie!

Tuż przy zbiegu pochylni Józwa ujrzał przed sobą o kilkanaście metrów niszczący żywioł, rwący ściany, zagarniający wszystko, co napotkał po drodze. Skręcił coprędzej na pochylnię. Pod pachą prześlizgnął mu się Jankiel i wyprzedził go, pędząc w górę; Antek, Wicek i stary Andrzej, uderzeni straszną siłą fali przy wejściu na pochylnię, omal nie zostali przez nią porwani z powrotem.

Trzech nakładaczy nie zdołało dopaść pochylni, gdy fale wody z piaskiem porwały ich w swe objęcia i poniosły ku szybowi.

Nie było słychać ani ich okrzyku rozpaczy, ani wołania pomocy. Piekielna muzyka, wycie i grzmoty zagłuszały wszystko...

Szalone fale kłębiły się, rozpierały ciasny chodnik, wyrywały ściany, łamały podpory, rabowały sufit, żarły jak gdyby zębami podeszwę węglową. Niekiedy zatrzymały się na chwilę i cofały w tył, napotkawszy przeszkodę, lecz zaraz uderzyły z tem większą wściekłością i parły naprzód, potęgując piekielną muzykę. Od czasu do czasu kłębiący się bałwan, wydostawszy się z ciasnego chodnika, wpadał z wściekłością na pochylnię, szukając swobodnego ujścia i uderzał pod nogi górnikom, grożąc śmiercią, poczem wracał i łączył się z falami, wyjąc przeraźliwie.

Józwa stał na pochylni blisko chodnika, wpatrzony badawczo w wyjący żywioł, jak gdyby chciał dowiedzieć się od niego, skąd pochodzi i kiedy przestanie szaleć, jak prędko skończy swe dzieło zniszczenia. Trwoga nie miała do niego dostępu. Zahartowany w niebezpieczeństwach kopalnianych, nie był obojętnym na nieszczęście, ale zachowywał zawsze zimną krew. Inni górnicy stali nieco wyżej, oniemieli z przerażenia. Jeden tylko Jankiel podsunął się do Józwy i, patrząc mu w twarz z za ramienia, starał się wyczytać stopień grożącego niebezpieczeństwa.

(Dokończenie nastąpi).

TO I OWO.

PŁACZ I ŚMIECH U ZWIERZĄT.

W mowie potocznej przyjęto wyrażenia: „płacze jak bóbr", albo „wylewa łzy krokodylowe", „płacze krwawemi łzami". Zdawałoby się, że są to przysłowia, osnute na tle fantastycznem. Wyobraźnia ludzka często bywa bujną, nawet zanadto, jednakże w przytoczonych przykładach wyrażenia te są odzwierciedleniem rzeczywistości.

W pojęciu człowieka płacz, ogólnie mówiąc, jest wyrazem żalu i bólu. Czy zwierzę, jako istota żyjąca i niepozbawiona czucia, nie miałoby możności okazywania uczuć żalu i bólu? Mnóstwo przykładów, podpatrzonych z życia zwierząt, potwierdza w zupełności prawdę trafnych wyrażeń powyżej przytoczonych.

Wyrażenie „płacze jak bóbr" oznacza, że płaczący długo wylewa łzy, spokojnie bez szlochania i łkania. W rzeczywistości, gdy bóbr zostaje złowiony, zwątpiwszy o ratunku, płacze gorzko. Płacze ustawicznie gorącemi łzami bobrzyca, gdy zabierają jej bobrzątko, smuci się do dwóch tygodni i wysycha jak szkielet.

Nad brzegami Nilu, w Egipcie, często rozlega się płacz dziecięcy. Zwabiony tym głośnym udanym płaczem dziecka, niedoświadczony człowiek przekonywa się, że wygłodniały krokodyl płacze, szukając żeru, a nieostrożny poszukiwacz płaczącego dziecka może stać się ofiarą głodnego potwora, gdyby za blisko doń podszedł. Stąd wzięto wyrażenie „wylewa łzy krokodylowe". W obecnych jeszcze czasach niektóre plemiona ziemi kapskiej otaczają bałwochwalczą czcią krokodyla i obowiązkiem tak zwanej świętej straży jest dostarczanie padliny żarłocznemu potworowi.

Pewien gatunek ociężałej meksykańskiej jaszczurki płacze krwawemi łzami; jest to wydzielina krwawa gruczołu łzawego, wytryskająca podczas niebezpieczeństwa w walce z inną jaszczurką.

Znane są przykłady płaczu, t. j. obfitego wylewu łez u małp, gdy im zabierają małpiątka, drażnią je, biją, lub gdy zostają ranione; wyrażają one w taki sposób uczucia żalu i bólu.

U śmiertelnie ranionej sarny z dużych czarnych ócz płyną obfite łzy.

Psy płaczą bardzo łatwo.

Ścigany zając wydaje okrzyk podobny do płaczu i z ócz płyną łzy.

Stary szczur płacze, gdy widzi utopionego towarzysza lub złowionego w pułapce.

U zwierząt przeżuwających istnieje stosunkowo wielki gruczoł i kanał łzawy w oczodole i możność łatwego łzawienia, trafnem przeto jest przysłowie ludowe: „płacze jak cielę".

Powyżej przytoczone przykłady, jak i wiele innych, wykazują, że u zwierząt żal i ból ujawniają się przez łzy, wogóle jednak zwierzę nie płacze tak łatwo, jak człowiek i w wielu razach znosi ono niedolę z godną podziwu cierpliwością.

Dziwnem wydawaćby się mogło pytanie, czy zwierzę się śmieje. Możność śmiechu, jako wyraz uczuć radosnych, jest właściwą człowiekowi. Jednakże ze spostrzeżeń przy odruchach mięśni wargowych wnioskować należy, że małpy i psy również są zdolne się uśmiechać.

RZETELNOŚĆ I ZAUFANIE.

Opowiadają o pewnym szlachetnym i sprawiedliwym Angliku: Pewnego razu przyszedł do niego kupiec dla odebrania swej należności i przedstawił mu weksel. Anglik właśnie w tej chwili liczył pieniądze. Kupiec zażądał natychmiastowego zwrotu długu z tegoż, leżącego na stole złota, lecz Anglik odrzekł:

— Nie, w żadnym razie nie oddam ci tych pieniędzy, gdyż muszę je w całości zwrócić memu przyjacielowi, który mi je pożyczył na słowo, więc jeśli umrę, straci wszystko.

Usłyszawszy to, kupiec podarł weksel i rzekł krótko:

— I ja wierzę panu na słowo.

Szlachetny Anglik był tak ujęty postępkiem swego wierzyciela, że natychmiast wypłacił mu dług, a przyjaciela poprosił o zwłokę.

